TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 36. *Chicago, Ills., 3 Marca, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Nie wiem, jak to tam było, czy jej ten Janek kogo przypomniał, czy się rozrzewniła jego sieroctwem.... Dosyć że wyściskała, ucałowała, pobłogosławiła, dała mu łańcuch złoty z relikwiarzem, ważący ze trzysta dukatów, i dodatku gotowizną na edukacyę trzysta sześć obrączkowych....

Kupiec spojrzał na stojącego przed sobą Brzeskiego i aż się przestraszył. Kuternoga był trupio blady, wargi mu się trzęsły, oczy miał w słup stojące....

— Co panu takiego?

— Zgrzałem się czy coś.. mdło mi....

Skoczył chłopak po wodę, Brzeski obalił się na ławę.... Nie przyszło ani na myśl kupcowi, ażeby opowiadanie jego miało być przyczyną tak wielkiego wrażenia. Gość spuścił głowę i dumał. Przyniesiono mu wodę, podano lampkę miodu, wychylił jedno i drugie po kolei, i jak wrosły siedział na ławie nieruchomy. Kiedy niekiedy potoczył wzrokiem dokoła.... i z piersi wyrywało mu się westchnienie.

W całym handlu ile było osób z kolei wszystkim przygodę Janka poszedł opowiadać Materski.... tak że o tem tylko gwarzono przy wszystkich stolikach, niektórzy już wprzódy z innego jakiegoś źródła o przygodzie tej wiedzieli, bo głośną była w mieście.

— Wszystko to — rzekł szlachcic ze wsi, siedzący opodal — bardzo się łatwo tłumaczy kto zna antecedencye familijne.... a pono by nam najlepiej je opowiedzieć potrafił oto tu przytomny pan Brzeski q u o r u m p a r s m a g n a f u i t.

— Przepraszam pana Wojskiego — odezwał się pot ocierając ze skroni zagadnięty — ja przybyłem na dwór Podskarbica już później nieco... gdy się miał żenić...

— Jako żywo — przerwał Wojski — byłeś asindziej jeszcze u wdowy, musiałeś znać i widzieć to dziecię, które tak nagle zmarło, a po którem ona utulić się nie może.... Otóż ów synaczek podobny być miał kubek w kubek do nieboszczyka ojca, a chłopak wczoraj spotkany i do niego i do Wojewody... Cóż dziwnego, że rozżalona kobieta, której teraz na świecie tak bardzo dobrze pono nie jest... wspomnienie szczęśliwszych dni tak magnifice powitało.

— Przepraszam pana Wojskiego — powstając z ławy przerwał Brzeski — jestem oficyalistą Podskarbica, męża pani tej, i nie mogę tego ścierpieć, aby go niesłusznie obwiniano.... Pani naszej chyba ptasiego mleka w domu braknie, a że dziecię umarło.... któż winien! Boże to zrządzenie.

Wojski uśmiechnął się.

— Albo Boże — rzekł — albo czyje inne... Hej! wiedzą sąsiedzi jak kto leży i jak siedzi.... Dziecko nie na rękę było... Różnie o tem piszą i mówią.

— Panie Wojski dobrodzieju — łamiąc ręce zawołał Brzeski — w publicznem miejscu takie rzucać słowo.... a czyż to się godzi?....

— Nie godziłoby się — mruknął stary szlachcic — gdybym ja je sobie z palca wyssał... ależ to chyba waćpan jeden nie wiesz o tem, iż cała okolica trzyma, że dziecka się pozbyto....

Brzeski oburzał się strasznie.

— A! na rany pańskie....

— Cóż? relata refero, niech mi przetomni poświadczą — zwrócił się do milczących świadków.... Podskarbic nie dbał coś o serce swych współobywateli, ani o dobre ich o sobie mniemanie, to też zbiera owoce.... On nam, myśmy mu obcy. Plotka złośliwa rosła, urosła, rozkrzewiła się, nikt go nie bronił, a teraz....

Nie miał już co mówić Brzeski, chwycił za czapkę ze stolika i zawołał:

— Czołem panom! ja tego słuchać nie mogę....

Wychodząc słyszeć mógł śmiech, który się rozległ za nim. Chwilę potem jakby namyślając się, stał jeszcze Brzeski w progu kamienicy pod wiechą i ruszył krokiem pospiesznym. Podskarbic miał przy ulicy Sławkowskiej kamienicę, która mu z jego ojczystych zmarnowanych majętności wielu, jakiemś szczęściem ocalała. Za lepszych czasów przodkowie jego, piastujący godności dworskie, tu zamieszkiwali stale lub czasowo. Urządzoną też była dawniej z przepychem, który teraz ustarzał, i przy nowych gmachach przestronniejszych wydawała się ciasną, poznać w niej wszakże było można dom senatorski nie tylko po wykutym nad bramą herbowym znaku, ale z całego rozporządzenia.. Zabudowana w kwadrat, z dziedzińcem w pośrodku, ozdobionym dawniej fontanną, i okrążonym krużgankami, opuszczoną była, ale mieszkalną. Najmować jej obcym nie chciał Podskarbic, trzymał w niej starego klucznika, stróża i dawnego swego totumfackiego okaleczałego, który się już z krzesła, na którem go wożono, nie ruszał. Podskarbic miał pewne w życiu chwile, pewne jakieś tajemnicze potrzeby, fatanzye, dla których się tu zamykał i czasem bawił po kilka miesięcy.... Niekiedy też przyjmował tu owych serdecznych przyjaciół młodości, z którymi pił i hulał nieprzerwanie po kilka tygodni. Sodoma i Gomora działa się tam, jak mówiono, gdy na nich ta kanikuła przyszła....

Żona Podskarbica choć często i do zamkowego kościoła i do grobu św. Jacka przyjeżdżała do Krakowa, nigdy nogą w tym domu na Sławkowskiej ulicy nie postała. Smutne to było domostwo, ale poważne jeszcze.... opuszczone w części, a pełne nietkniętych prastarych pamiątek. Podskarbic mieszkał zwykle na pierwszem piętrze od tyłu i ogrodu, który był niewielki ale cienisty... Zajmował on kilka pokojów trochę odświeżonych i wygodniej urządzonych... Od ulicy były sale sklepione, służące do przyjęć, pełne czarnych obrazów, ciężkich stołów i stołków, sprzętu nadniszczonego i zapylonego.. Brama nigdy, nawet we dnie otwieraną nie była, chyba gdy kto obyczajem włoskim, ogromnym pierścieniem wiszącym ze lwiej paszczęki, uderzył we wrota.. Naówczas przychodził stróż, przez zakratowane okienko z zasuwą wyglądał, pytał i nie puszczał, aż się poradził, gdzie należało....

Podskarbic właśnie był w mieście od dni kilku. Brzeski wiedział o tem i wprost od Ma-

terskiego szybkim krokiem, pobiegł, o ile mu kulawizna jego dozwalała, na Sławkowską ulicę... Miał on taki umówiony sposób kołatania do wrót, że mu stróż jako domowemu natychmiast odryglował.

Stało się i tym razem, że ledwie miał czas pot otrzeć z czoła, już się furta dla niego otwarła. W podwórzu było jak zwykle pusto. Na wyschłej misie wodotrysku, w której pełno było piasku, świergocąc kąpały się wróble.. ukośny promień słońca połowę krużganków oświecał fantastycznie.... Na schodach panował już cień wieczorny... kuternoga wdrapał się na nie, przeszedł cały szereg korytarzy i sal, nareszcie do pańskich drzwi zapukał. Nie wszedł jednak skoro, bo wewnątrz słychać było kilka głosów różnych... dopiero za powtórnem pukaniem uchylono drzwi, rumiana twarz Podskarbica ukazała się gniewna...

— Kto tam?!

Postrzegłszy wszakże swojego pomocnika i duszę zaprzedaną, Podskarbic nie wpuszczając go do komnat, wyszedł ku niemu....

— Proszę na ustęp.... wnijdźmy — gdzie... bo są ważne rzeczy...

— A ty mi dokuko nieznośno, ptaku złej wróżby, zawsze musisz przyjść coś złego zwiastować, gdy ja chcę nieco odetchnąć! — zawołał Podskarbic.

— Ja bym nie chciał, ale muszę — szepnął Brzeski — tu chwili do stracenia nie ma..

Podskarbic otworzył drzwi ciasnego gabinetu narożnego i wprowadził za sobą Brzeskiego.. a rzuciwszy się na stojącą w kącie sofę, rzekł:

— Mów!

— Stała się rzecz najgorsza, jaka tylko stać się mogła — szepnął Brzeski – nim zdołałem namówić chłopca, boć go przecie z pośrodka miasta siłą zabrać niepodobna.. Pani go spotkała na drodze, uderzona została tem nadzwyczajnem podobieństwem ... stała się scena wpośród gościńca.... Ludzie go otoczyli, widzieli znamię pod uchem.... Pani zebrała, co było pieniędzy przy służbie, zdjęła z siebie łańcuch złoty i wszystko to oddała chłopcu... płacząc i błogosławiąc...

Podskarbic, który się był rzucił leżeć i spoczywać, zerwał się słuchając i przyskoczył w końcu do Brzeskiego, chwytając go za gardło.

— A któż winien, niegodziwcze jakiś — zawołał — jeżeli nie twoje tchórzostwo, głupota niezgrabstwo?... Czemużeś go nie uwiózł, nie uprzątnął, nie zaprzepaścił.... nie....

— Dobierzże pan sobie lepszego sługę! — wyrywając się z jego rąk krzyknął Brzeski — dość tego!

Odstąpił krok ku drzwiom, jakby chciał iść.

— Stój... niedźwiedziu ty jakiś, stójże! gadaj mi — wołał Podskarbic. — Wziąłem cię gołego, napchałeś się u mnie, zbogaciłeś, nakradłeś, a teraz myślisz, że ja ci tak dam pójść bezkarnie, gdy ci się zechce?

Na twarzy Brzeskiego bezsilny, ale straszny gniew się odmalował..

— Nie wziąłem u was darmo nic, takie usługi, jakiem ja wam świadczył, drogo płacić się muszą — mruknął — pójdę, gdy zechcę, i nie uczynicie mi nic, bo wiecie, że mogę sam zginąć, ale gdy zechcę, to i was zgubię...

— No, milcz.. dosyć! — sucho przerwał Podskarbic — do rzeczy! Chłopca należy sprzątnąć...

— Teraz gdy na niego wszystkie oczy zwrócone? — spytał Brzeski.

— Teraz, gdy ma kilkaset dukatów, a miasto całe wie o tem, zniknie i nikt nie posądzi innych sprawców, tylko zbójców, co na pieniądze czychali — odezwał się Podskarbic — Nie ma tu co myśleć.... daj go tylko do kamienicy na ręce Hurdy, a ten będzie wiedział co z nim ma zrobić... Do bramy go przyprowadzić o mroku nie wielka rzecz.... więcej od ciebie nie potrzebuję....

— Tak! tak! łacno wam rzec! — niewyraźnie wyjąknął Brzeski — ale..

— Musisz go wziąć, czem i jak chcesz... Hurdę ja zawiadomię co uczynić ma.... byleś mu go do rąk oddał.. Jeśli ty się nie sprawisz, znajdę innego, lecz mi się więcej nie pokazuj na oczy, i zrób testament a wyspowiadaj się.. Sługą być nie chcesz, nieprzyjacielem musisz, a ja nie ścierpię wroga swobodnie chodzącego..

Podskarbic wstał i siadł trzęsąc się znowu i powstał raz jeszcze:

— Rozumiesz.. masz do wyboru.. zrób swą powinność lub.... gotuj się iść tam, zkąd się nie powraca.. Ja już nic nie mam do stra-

cenia — dodał z iskrzącemi się oczyma — albo było nie zaczynać lub potrzeba kończyć!!

Gdy ex-wojewodzina nazajutrz stanęła w swej rezydencyi nad wieczorem, znużona drogą i chora, z powodów zapóźno obmyślanej ostrożności, zakazano dworowi o przygodzie na drodze u Prądnika rozpowiadać. Służba też, któ ra dalej stała, nic nie wiedziała i nie widziała oprócz tego, że chłopcu ubogiemu na drodze dano sutą jałmużnę, co żadną osobliwością nie było. Dworzanin tylko rękodajny, który w podróży zastępował marszałka i koniuszego zarazem, i towarzyszka jejmości, co się zblizka chłopcu przypatrzyli, wiedzieli, dla czego pani tak była wzruszoną, i wrócili pełnych różnych myśli.. Ex-wojewodzina położyła się czując niezdrową, a w parę godzin potem P. Bronisz powołany do towarzyszki jej, starej Łowczynej, wsunął się do jej pokoju..

Zastał ją na progu oczekującą, schwyciła go zaraz rękę.

— Poczciwy mój Bronisz — zawołała — ty tu jesteś jeden człek z głową, na którego rachować można i zwierzyć mu się godzi.... Byłeś świadkiem wszystkiego.... Pani rozmarzona, spłakana... poruszona.. Co to jest? co może być? mów.. Nigdy mi się głupim gadaniom wierzyć nie chciało.. ale to znamię... złym ludziom.. wszystko możliwe.. któż wie, kto ten chłopiec...

— A pani Łowczyna dobrodziejka — rzekł Bronisz — jam się też przez całą tę drogę myślami namęczył... Bóg jeden wie, co to jest, ale dochodzić trzeba...

— A! śledź! dochodź! byłbyś dobroczyńcą tej kobiety — rzekła Łowczyna.. — Ja co myślę, tego powiedzieć sama przed sobą się boję. Podskarbica nie winię, ludzie czasem chcą myśli pańskie zgadywać i gotowi choć na zbrodnię. Brzeskiego waćpan znasz...

Bronisz głową kiwnął milczący.

— Łowczyno, dobrodziejko, zawczasu ani mówić nic, ani obiecywać nie mogę, proszę się spuścić na moje gorące do pani przywiązanie... zrobię.. co sumienie i rozum podyktują.

Pocałował w rękę staruszkę i wyszedł. Mrok padał.. Od zamku w którym mieszkała ex-wojewodzina, a któryby dziś właściwiej pałacem się już był mógł nazywać, lipowa stara aleja wiodła do miasteczka, do którego niedochodząc stała plebania, przy niej kościół i cmentarz.. Bronisz pospieszył na plebanią do proboszcza.. Był nim starzec, niegdy obowiązany rodzinie wojewody, człek zacny, pobożny, spokojny, ale wiekiem i chorobą złamany. Zastępował go w kościele i porafii wikary z Krakowa przysłany, czynniejszy nad niego, którego dla rozległych wsi, do kościoła należących, że je ciągle objeżdżać musiał, rzadko w domu było zastać.

Staruszek przywitał Bronisza jak syna.. zaczął o podróż rozpytywać, o zdrowie pani, o Kraków, nowiny.. Wszystko to zbyło się słowy krótkiemi.. Bronisz widocznie miał coś na sercu, i pilno mu było z proboszczem się rozmówić.

— Ojcze — rzekł, szepcąc mu do ucha — mam do was prośbę największej wagi... ale sub rosa.. Na miłość Bożą wysłuchajcie mnie... i pomóżcie do wyświecenia prawdy..

— Ale cóż to jest znowu? przestraszasz mnie! — rzekł starzec — żart czy prawda?

— A! prawda i bodajby nie była bardzo smutną — dodał Bronisz.. — Posluchajcie, stare to są dzieje, ale nikt ich lepiej nad was nie pamięta... Gdy się pan podskarbic z panią naszą żenił, dziecko mu było bardzo na zawadzie, ze wszech miar.. Pani wyjechała na pogrzeb matki, a dziecię umarło, i zmarłe pochowano jakoś tak uwinąwszy się, że nikt go po śmierci nie widział.. Ludzie pletli i powtarzali że się chłopca pozbyto, a byli tacy, co imiennie Brzeskiego o to obwiniali..

Staruszek podniósł głowę i palec położył na ustach. Cicho dziecię moje, cicho. Bóg sędzią uczynków ludzkich, co pomoże dochodzić przeszłości.. Bezkarnie nic nie uchodzi.. Cierpliwości.

— Ależ posłuchajcież, ojcze kochany, jak się to składa — zaczął Bronisz, i powiedział spotkanie z chłopięciem, i dojrzane znamię i rozczulenie biednej kobiety, która w sierocie ubogiej cień własnego dziecięcia ściskała.

A jeźli ten przypadek wprowadza nas na drogę.. dodał — może to palec Boży? któż wie? alboż dziecka nie mogli rzucić tak na wieś gdzieś, by się go pozbyć..

— Przecież je pochowali, tu w familijnych grobach.. rzekł staruszek..

— Gdzie?

— Pod kościołem.

Bronisz starca w rękę pocałował.

— Nie godzi się to, prawda — rzekł — spoczynku zmarłych naruszać, lecz gdy się dochodzi zbrodni, zdaje mi się, że nie byłoby grzechem przekonać się, czy istotnie w tej trumience..

Proboszcz zrazu rękami się zasłonił i słuchać nie chciał, po chwili jednak jakoś z przestrachu tego ochłonął. Bronisz nalegał ciągle... trudno mu się było oprzeć.

— Od grobów familijnych klucze są u mnie — rzekł nareszcie staruszek — nie puszczę cię samego, bo byś tam nic nie znalazł, nikt prócz mnie trumienki tej wskazać nie potrafi.. Trzeba iść, niech Bóg przebaczy, pomodlim się za ich dusze.. Waćpan mnie podprowadzisz, bo mi nogi nie służą.. Z nocą pójdziemy do kościoła, nikogo to nie zadziwi, czasem tego służba Boża i obowiązki wymagają, nie będzie to bezprzykładnem i żadnych podejrzeń nie obudzi....

Bronisz zapalił stojącą latarkę przy drzwiach, zabrano klucze, i przez podwórze plebanii, nie spotkawszy nikogo, przeszli łacno na cmentarz opasujący kościół. Dostali się ztąd do zakrystyi, a przez nią do głównej nawy, w której drzwi żelazne zakrywały schody wiodące do sklepów.. Bronisz nie potrzebował pomocy, by je podźwignąć, po złych, wilgotnych schodach, niosąc latarkę w ręku, musiał prowadzić staruszka, któremu nogi i oczy nie służyły.. Gdy nareszcie w dół zeszli, w świetle słabem latarki pokazał się sklepiony loch nizki, cały zastawiony trumnami. Niektóre z nich stały już jedne na drugich, bo wiele pokoleń grzebiono tu od wieków kilku, i miejsca zmarłym zabrakło... Wązkie tylko przejścia pozostawały pomiędzy kośćmi i okruchami desek.. aby się dostać do głębi.

— Pamiętam dobrze — rzekł proboszcz — iż trumienkę małego Jasia zostawiono przy tylnej ścianie za inne, a powinnaby przypierać do kasztelańskiej. Zresztą napis na niej wykuty był ćwieczkami, a mocna dębowa trumna w lat jedenaście w miejscu tak suchem zbutnieć i rozpaść się nie mogła....

Z trudnością wielką dostali się na miejsce wskazane, i Bronisz postrzegł stojącą pod ścianą w kąciku, opisaną przez proboszcza trumnę dziecka, nabijaną gwoździami białemi. Była jeszcze cała i trzymała się nieuszkodzona; Bronisz wcisnął się jak mógł najbliżej a że w miejscu otworzyć jej nie było podobna, musiał z ostrożnością, ująwszy za antaby, wysunąć bliżej.. Wieko było szczelnie zabite.. lecz idąc na tę nieszczęśliwą wyprawę, dworzanin uzbroił się wcześnie w dłuto i młotek, których potrzebę przewidywał.. Kląkł na ziemi i po kilku uderzeniach poczuł, że wierzch odskoczył.. Proboszcz schylił się z latarką, żegnając z trwogi jakiejś niewysławionej.. Drżącą ręką Bronisz podniósł wieko.. pokazały się pod nim opony jakieś, które wnet w głąb opadły, bo były przebutwiałe..... na dnie leżały trzy kamienie..

Jeden z nich wyjął Bronisz milcząc i pokazał go proboszczowi.. który równie jak on... słowa odezwać się nie mógł. Oba drżeli przejęci.. Dowód występku popełnionego tajemniczo był jawny.. Dla Bronisza nie pozostawało już najmniejszej wątpliwości, iż ów chłopak sierota.... był synem wojewody, umyślnie rzuconym na zatracenie.... Staruszek też w duszy wielbił opatrzność, która niepojętemi drogami prawdę odsłania i występkowi bezkarnie ujść nie daje..

Trumienkę z kamieniami w niej, złożono w miejscu, wyszli nazad z grobów pomodliwszy się.... Bronisz drzwi zamknął i zaryglował.. powrócono spokojnie na plebanią. Tu staruszek natychmiast protokół oględzin podyktował, sub fide et conscientia, który obwarowany pieczęciami i podpisami w dwóch kopiach sporządzono. Jedną z nich zabrał z sobą Bronisz, druga została na probostwie....

Wyszedłszy z domu przy ulicy Sławkowskiej, Brzeski mrucząc gniewny, wprost udał się do własnego, odziedziczonego po kanoniku Hodowskim. Nie mieszkał on w nim, zwykle będąc zmuszonym ciągle prawie odbywać podróże i objeżdżać dobra lub siedzieć na wsi; ale na drugiem piętrze, tem właśnie, które zajmował kanonik, mieszkała jego żona. Schronienie to posłużyło jej dla odsunięcia się od męża, który przystał na to, żeby w mieście osobno zamieszkiwała. Niepotrzebując pomocy od niego, pani Tekla utrzymywała się z dochodów, jakie

kamienica wynajęta przynosiła, ubogo wprawdzie, ale szczęśliwa, iż się pozbyła nienawistnego człowieka. Brzeski wymówił sobie tylko izbę od podwórza, sypialną niegdyś kanonika, w której czasem będąc w mieście odpoczywał, pisał, nocował. Od tej klucz nosił przy sobie. Rzadko kiedy jednak go tam widywano. Brzeska nie mając dzieci, nie mając zajęcia, ani celu w życiu, cała była oddana nabożeństwu. Od rana chodziła z kościoła do kościoła, wracała się pożywić tylko, szła na nieszpory, a wieczorami przed ustawionym w domu ołtarzykiem, z dwoma babkami, śpiewała litanie i godzinki.. Zdawało jej się, że w ten sposób i za grzechy męża odpokutuje....

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROBINSON KRUZOE

— CZYLI —

SKUTKI NIEPOSŁUSZEŃSTWA

zupełnie nowo i treściwie ułożony.

ROBINSON KRUZOE.

W słynnem handlowem mieście Europy, mieszkał kupiec imieniem Robinson, który miał jednego tylko syna.

Robinson i jego żona będąc w podeszłym już wieku, całą nadzieję pokładali w swoim jedynaku; kochali go w całem zaślepieniu — tą nierozsądną miłością, która po większej części jest przyczyną zepsucia dzieci zaraz w zarodzie; strzegli jak oka w głowie, dozwalali na wszystkie wybryki małego Robinsona — dogadzali wszelkim jego zachceniom; — ciesząc się z talentu syna, jaki okazywał w płataniu figli drugim.

Nic więc dziwnego, że Robinson dorosłszy do lat 17 niczego się nie nauczył, do niczego nie miał ochoty — a ciągła nieczynność zrodziła w nim właściwą podobnym próżniakom, chęć nabycia dostatków łatwym sposobem.

Nie podobało się naszemu bohaterowi tej powiastki zajęcie ojca — widział drugich bogatymi, ale widział zarazem że doszli do tego majątku pracą mozolną — do czego czuł niewypowiedziany wstręt.

Słysząc przeto o zamorskich krajach, w których złoto, srebro, drogie kamienie rodzą się — o owocach, których nawet nie trzeba połykać, bo same w ustach się rozpływają, popostanowił udać się do owych krajów — a żądza wrażeń doprowadziła jego postanowienie do tego stopnia, że już o niczem więcej nie myślał, nic go nie zajmowało, stał się smutnym; co dostrzegłszy rodzice jego, wielce się tym zmartwili.

Nadszedł wreszcie czas — w którym nasz Robinson objawił swym rodzicom swą chęć prosząc ich, może po raz pierwszy o pozwolenie odbycia podróży choć o parę mil za obręb miasta, w którem mieszkał.

Długo państwo Robinsonowie nie mogli pogodzić się z tą myślą, ojciec chodził jak struty, a biedne matczysko szlochało po całych dniach odwodząc synka od tego zamiaru, bo utrata syna, byłaby utratą jedynego ich szczęścia.

Ale Robinsonek trwał upornie w owem postanowieniu, a gdy rodzice spostrzegli na jego twarzy bladość, przyszli wreszcie do tego przekonania, że synek rozchoruje się i umrze, jeżeli mu nie pozwolą opuścić domu, w którym zrósł i wychował się — wybierając przeto z dwójga złego, zdecydowali się wreszcie wyprawić swego Robcia do Hamburga — w tem przekonaniu,

że ta podróż wróci mu rumieniec na twarzy, i że go odwiedzie od tej manii wojażu.

Po długim więc przygotowaniu do podróży — po jeszcze dłuższych przestrogach dawanych koleją to przez ojca to przez matkę, a których Robcio nie myślał nawet słuchać, wreszcie po uściskach serdecznych, płaczu, — rodzice naszego bohatera na drogę przeżegnali i pożegnali, zdając go na wolę Bozką.

Może nie jednemu z czytelników — przyszło opuszczać po skończeniu wakacyi lub z innych powodów dom rodzicielski; chociaż na krótki czas, chociaż wiedział, — że w krótce powróci do swego gniazda — do swego pokoiku, ogródka, do ulubionego psa burka lub kota maciusia — a przynajmniej nic nie stało na przeszkodzie do spodziewania się, że jeszcze będzie się drapał po parkanach, wiśniach, śliwkach i t. p. i takowe do szczętu oporządzał z owocu, aby nabawić kłopotu swej cioci lub babce, która dla wnuczka nie będzie miała z czego przysmaczku zrobić — a później wszystko zwalić na szkodliwe wróble — spodziewał się jeszcze ucałować ręce kochanej matki i ojca i przesiadywać z babusią w jej apteczce — lub słuchać ich pieczołowitych przestróg, a jednakże w chwili ostatniej pożegnania, zalewał się łzami, jakaś tęsknota opanowywa wtedy serce, cóż przyciąga do miejsca, zwleka chwilę rozstania — jeszcze z tym lub owym chce pomówić, chce się uściskać, jeszcze się zakimś ogląda, jeszcze burka pogłaszce, a oddaliwszy się od domu, ogląda się i wlepia oczy w miejsce ukochane dopóty, póki z oczu nie zginie, — westchnienie w końcu, łza potoczy się z oka i ruszy dalej, bo trzeba się zgadzać z losem.

Nie jeden by może poczytał ten żal temu, który opuszcza dom, gdzie miał kochających, troskliwą opiekę, a spodziewa się niewygód, trudu; bynajmniej — on zdąża do szkół, tam spotyka się z swymi rówiennikami — z swą książką, profesorami, z palantem i piłką, i tym światem, — o którym w późniejszym wieku starcy, z całą przyjemnością, jako o wieku najszczęśliwszym nieraz wspominają.

Powiem wam przeto ciekawi czytelnicy, że nie każdy opuszcza dom, w którym się urodził i zrósł z takim smutkiem, na to trzeba być Polakiem — on najwięcej przywiązuje się, zrasta z rodzinnym gniazdem; a trzeba być tylko Niemcem, aby puszczać się w świat z radością w sercu, z uśmiechem na ustach; otóż w sekrecie muszę wyznać, nasz Robinson zepsuty pieszczotami rodziców z swym uporem nie wiedział jeszcze kim jest.

Odjeżdżając nie widział spoglądających rodziców; najdroższy synek czem innem był zajęty, widział już pałace wybijane złotem, widział jak każdy mu się kłania, układał w głowie plany jak to będzie i co to będzie — i sam śmiał się z radości do siebie.

W Hamburgu zwiedził Robinson co było godne widzenia, przebiegał ciekawie ulice jeden i drugi dzień, trzeciego czuł, że się zaczyna nudzić i znów wrócił do swych idealnych urojeń, które układając z zwieszoną głową zaszedł do portu; tu uderzył go widok okrętów, ich rozmiary, liczba, ich rozmaitość w konstrukcyi a wreszcie zachciało się mu spróbować pobujać po falach morskich. Posłyszawszy rozmowę nie opodal stojących majtków, że jeden z stojących w porcie okrętów odpływa nazajutrz do Londynu, powziął zamiar udania się tam, tem bardziej, że już nie jedno słyszał o tem stołecznem mieście Anglii.

Nie tracąc czasu, pobiegł natychmiast do kapitana wskazanego okrętu, umówił się o miejsce, a przypomniawszy sobie, że ma rodziców, napisał do nich list przepraszając za nieposłuszeństwo, a w zamian — obiecując prędki powrót. Nazajutrz rano był już pierwszy nasz Robinson na okręcie, oglądał wszystko, o wszystko się wypytywał, a usłużni co większa gadatliwi majtkowie opowiadali mu o życiu na morzu, jak to nie raz przychodzi walczyć z wzburzonem morzem, jaka to miła zabawka podczas burzy, jak to nie jednego syrena pociągnie do siebie aby go uwieść i utopić, opowiadali o dziwnym sposobie łowienia ryb, jak to nie raz napadną rozbójnicy morscy, zwani korsarzami, których gdy się pokona i okręt im zabierze, wtedy w nim tyle zawsze znajdzie się złota, że przeliczyć nie można. Opowiadali o okrętach zwanych pancernikami, które są całe okute blachą, a po wierzchu wody nie płyną tylko chodzą po dnie morskiem, tak że ich widzieć nie można prócz małego kominka nad wodą sterczącego, a które uzbrojone są ogromnym kolcem rozcinającym okręta na połowę, i dłużej by mówili a nasz słuchacz do skończenia świata by słuchał, gdyby nie dano sześciokro-

tnym wystrzałem z armaty hasła do odbicia.

Robinson był cały radością przepełniony, młody, ciekawy, nigdy niczem nie hamowany umysł, całą siłą przyjmował wrażenia wielkiej natury, długo patrzał na miejsce, od którego się oddalał, owe miasto tak wielkie, ludne, hałaśliwe — powoli stopniowo w miarę oddalania się malało, już ludzie wydają się tylko jak małe robaczki, w końcu wszystko znikło, tylko niebo i morze, cisza do koła przerywana szumem bałwanów morskich, wołaniem majtków, lub krzykiem ptastwa morskiego.

W pierszych dwóch dniach, niebo było jasne, pogodne, ani jednej chmurki, wiatr pomyślny dął w żagle i okręt szybko przesuwał się po spokojnem morzu; trzeciego dnia zachmurzyło się, wiatr począł gwałtowniej dąć — ptaki i potwory morskie uwijają się koło okrętu, z czego starzy marynarze wróżą wielką długotrwającą burzę, i nim poczęli pierwsze przygotowania do przyjęcia walki z strasznym żywiołem — gdzież w oddali błysnęło, później grzmot a wreszcie deszcz lunął jak z cebra.

Ciemność grobowa zapanowała do koła, jeden drugiego na krok nie mógł dojrzeć, to znów ciągle błyskawice tak przeraźliwe dawały światło, że niebo zdawało się stać w promieniach, a towarzyszące pioruny swym ciągłym grzmotem jakby uwzięły się rozbić cały świat. — Okręt rzucany po śpienionych falach jak piłka, to nurzał się aż na dno morza, to znów wspinał się na bałwanach morskich pod same obłoki. To było nad siły dla nieprzywykłego do podobnego widoku Robinsona, w strachu trzymał się z całych sił okrętu, aby z niego nie wylecić, wreszcie zrobiło mu się słabo — i popadł w tak zwaną morską chorobę — której każdy pierwszy raz płynący morzem ulega.

W tem piorun zgruchotał główny maszt okrętu, przez co odpadła wszelka nadzieja kierowania okrętem, całą załogę przejął dreszcz febryczny na ten widok, bo okręt oddany został na pastwę losu, a na domiar nieszczęścia głos wołający z dolnej części okrętu: „zginęliśmy — dziura w okręcie, woda stoi na 2 stopy!" doreszty odjął zmysły przytomnych.

Ten pada na kolana zalany łzami i błaga Boga w niebo głosy o ratunek, ów wspomina o domu, o ojcu, matce, braciach, siostrach, o krewnych, których tak kochał a może się nigdy nie zobaczy — i przeklina chwilę, w której siadł na okręt, tamtem westchnieniami zdaje się, że pierś rozerwie, zamieszanie, krzyk, lamenta, błagania, modły — cała załoga przedstawiała okropny rozdzierający widok. Pierwsi majtkowie, jako ludzie otrzaskani w podobnych wypadkach krzyknęli: „do pomp!" i sami dając przykład rzucili się do wypompowywania wody z całą zaciętością, cała załoga rozpaczą pchnięta wzięła się do pracy, aby pozbyć się wody coraz do okrętu przybywającej. — Tu można było zobaczyć wyperfumowanego elegancika, który w życiu swojem może nigdy funta ciężaru w ręku nie miał, który brzydził się fizyczną pracą, jak z wytężenia zlany potem — ledwie dyszący, cudów siły dokazywał — nie jedna panienka, płacząca dzień cały nad tem, że się igiełką ukłóła w paluszek lub, że ją kotek udrapał, tu zwalana do niepoznania skrwawionemi rączkami dźwiga sznury, kubły; kułaki, szturchanie przelatujących przyjmuje w milczeniu, nic nie czując.

Ale co robi Robinson? — zapytacie — on nic nie robi odpowiem a raczej leży na w pół żywy, ale oto zbliża się wąsaty majtek, bierze go za kołnierz, stawia na nogi i wrzeszczy do ucha: „ty próżniaku spisz, kiedy drudzy na śmierć się zapracują — ruszaj do pomp!" — Poszedł biedak niepewnym krokiem w wskazane miejsce, zebrał wszystkie sily, ujął słabą ręką za korbę i pomaga drugim w pracy jak może.

Wszelka jednak praca była daremną, okręt coraz więcej nużał się, i już blizkim był zatonięcia.

Kapitan okrętu wzywając o ratunek jaki, może w blizkości będący okręt — kazał wystrzelić z armat.

Na odgłos ten Robinson w mniemaniu, że okręt pękł, upadł nieprzytomny na pokład a przebiegający majtek myśląc że umarł, kopnął nogą i usunął go z drogi aby nie zawadzał drugim.

Tym czasem okręt w pobliżu będący usłyszał wystrzał armatni, a domyślając się, że to jacyś nieszczęśliwi żądają pomocy, wysłał łodzie, co dostrzegłszy wzywający o ratunek, nie czekając przybycia pomocy zaraz pospuszczali swe łodzie, wszyscy się zaczęli pchać do nich, każdy chciał być pierwszym, a tu łodzi nie wiele, a załoga liczna — łodzie przeładowane zaczęły się jedne wywracać — drugie topić i tak kiedy za

nadejściem posiłkowych łodzi mogliby wszyscy być uratowani, przez swój nierozsądek i chciwość powpadali do morza, gdzie ich żarłoczne haje pożarły. Zostało tylko kilka osób a między niemi i nieprzytomny Robinson, tym przybyli na pomoc z drugiego okrętu i zabrali na swój, a niezadługo przybyli do Londynu.

Robinson przyszedłszy do siebie nie mało się zdziwił, widząc, że jeszcze żyje a co większa, że zamiast na dnie morza, leży na miękkiem łóżku pod opieką doktora — za którego staraniem przyszedł w krótce do zupełnego zdrowia.

II.

Tydzień przesiedział bohater nasz w Londynie, i tylko tygodnia potrzeba mu było do zatarcia doznanych w zeszłej podróży przygód, które po tym czasie w innym świetle przedstawiły się naszemu Robinsonowi. Jestem teraz już doświadczonym, pomyślał — i zapragnął znów jego duch niespokojny jeszcze czegoś więcej, to tylko była mała przejażdżka mówił, ja jestem stworzony do wyższych celów; i znów poszedł do portu — a dowiedziawszy się o okręcie odpływającym do Gwinei, wielkiego kraju handlowego w Afryce, siadł na niego i z pomyślnym wiatrem odpłynął.

Nowa podróż odbywała się bardzo pomyślnie. Okręt szybował po bałwanach jak ptak w powietrzu, i w krótkim czasie zostawiwszy za sobą 100 mil, ujrzeli nasi nowi żeglarze, wyspy kanaryjskie, na które dla odpoczynku i zasilenia okrętu wysiedli.

Robinsonowi wyspy kanaryjskie — z ich piękną fizognomią, a zarazem z ich urodzajem wydały się rajem ziemskim, widział mnóstwo śpiewających kanarków, przelatujących po różnogatunkowych owocach winnej latorośli; pierwszy raz ujrzał trzcinę cukrową, wszystko to dla niego cudownem się zdało, napawał się wspaniałem widokiem — musiał każdego owocu skosztować. Po upływie pewnego czasu, który dla Robinsona wydawał się małą chwilką, gdy już potrzeby okrętu zostały zaspokojone — dano hasło do odbicia.

W tem nadpłynął portugalski okręt towarowy z Lizbony, którego celem podróży była Brazylia w Ameryce. — Ten wielki kraj leży w południowej części Ameryki, a należał do króla portugalskiego — tam to znajdują się kopalnie złota i drogich kamieni.

Robinson jak tylko usłyszał o złocie, drogich kamieniach — już zapragnął mieć ich pełne kieszenie; natychmiast więc począł układać się z kapitanem okrętu o zmianę miejsc — kapitan okrętu portugalskiego był nieco z początku twardy, nie chciał nawet słuchać Rabinsona, ale jak ten zaczął prosić, przekładać, przyjął go wreszcie na swój okręt.

I Robinson płynie po spokojnem morzu do Brazylii. — Pewnego dnia ujrzał obce dla niego zjawisko; były to różnym kolorem błyszczące latające ryby, wznoszące się nad wodą, a były tak świecące jak lustro, tak, że wieczorem od nich rozchodził się długi pas światła na kształt komety z ogonem.

Podróż szła pomyśli tak całej załogi jak i Robinsona. — Niezadługo nastała gwałtowna burza, wicher dął od wschodu, bałwany wznosiły się pod obłoki, olbrzymiały jak domy i miotały okrętem na wszystkie strony. Sześć dni trwała bez ustanku burza, i okręt tak daleko gdzieś zapędziła, że sternik nie wiedział, gdzie się znajduje, myślano — że jest zwrócony w stronę wysp kanaryjskich.

Siódmego dnia, gdy już załoga zaczynała tracić nadzieję dostatnia się na ląd, jeden z majtków zawołał: ,,ziemia! ziemia!" Wszyscy wybiegli na pokład, chcąc zobaczyć tę upragnioną ziemię — ale ich radość niedługo trwała, zaledwie bowiem wybiegli, gdy w tem okręt stanął, to było wykonane z taką gwałtownością, że wszyscy obecni niespodziewając się tego ataku padli na ziemię.

Okręt osiadł na mieliźnie, i tak silnie był wkopany — że zdawał się być wrośniętym w ziemię. Strach opanował przytomnych, śmierć z głodu lub w falach morskich każdemu stanęła przed oczyma — przekleństwa na sternika mimo woli wydzierały się z piersi zrozpaczonych — jedni bili głowami o ziemię, drudzy łkali od płaczu, włosy z głowy darli, inni do Boga o pomoc wzywali — a Robinson stał jak niemy w miejscu bez czucia, bez ruchu, jak martwy posąg.

Wynaleziona z ogólnego zniszczenia łódka, stała się przedmiotem zbawienia dla wszystkich spuszczono ją, a każdy pchał się do niej nie zważając na drugich, natłok był wielki, a prze-

pełniona łódź była zaledwie o parę cali nad wodą.

Ląd był jeszcze daleko, zaledwie można było rozpoznać, że to ziemia, a wiatr dął od tej strony nie dozwalając się łódce zbliżyć. — Uderzono jednak z całych sił w wiosła, i chociaż z wielkim trudem, bo każdy z płynących czuł się z utrudzenia zupełnie wycieńczonym z sił; zbliżali się do brzegu, inny duch wstąpił — już sądzili się być wyratowanymi, gdy w tem straszny widok wydarł jęk z piersi wszystkich — straszny ogromny bałwan wzniósł się nad łódź, którą płynęli i groził zalaniem — dreszcz śmiertelny przeszedł po żyłach, z rozpaczą chwytają za wiosła — padają z utrudzenia bezwładnie — już brzeg, — tylko parę uderzeń wiosłem a wszyscy będą wybawieni. Straszna to chwila, z jednej strony widzieć ratunek życia, z drugiej grożącą śmierć, być tak blizkim ocalenia a tu wyobraźcie sobie czytelnicy, ów wielki bałwan grożący zalaniem, stojący jak widmo złowieszcze, — tylko chwilka — już wolni! przybijają do brzegu! — w tem ów bałwan rzuca się na łódź — chwyta w swą paszczę i wpycha ją w utworzoną przepaść na dno morza — za chwilę cisza — nikogo nie widać — burza jakby kontenta z ofiary — zamilkła.

III.

Ale nie traćmy nadziei — poczekajmy, może który wypłynie na wierzch — coś w dali widać nurzającego się w wodzie, to człowiek jakiś, trzyma się konwulsyjnie za deskę, a bałwany rzucają nim w stronę lądu; już jest na brzegu — leży w znak zmęczony — oczy zamknięte, cały siny, szkoda, morze wyrzuciło kogoś na ląd — ale nieżywego, a przynajmniej nie znać w nim iskierki życia — przypatrzmy się przynajmniej temu rozbitkowi — jakaś twarz znajoma — to Robinson! — Tak to Robinson, kochani czytelnicy! zalany bałwanem, chwycił się przypadkiem za deskę i ta go wyratowała — leży teraz bez czucia, ale coś drgnęło w nim, rusza ręką — ocalony przechylił się na bok — woda z ust płynie, powoli otwiera oczy — siada — rozgląda się — Boże gdzie jestem! zawołał słabym głosem — zbiera ostatek sił, wstaje na nogi — patrzy — a tu z okrętu tylko szczątki porozrzucane pływają po morzu, żywej duszy nie ma, nigdzie śladu człowieka, on jeden pozostał, wszyscy potonęli — łzy mimowoli polały się z ócz, pada na kolana i dziękuje Bogu za wyratowanie od śmierci.

Modlitwa szczera pokrzepiła jego ducha, powoli przychodząc do siebie, począł myśleć o dalszym ratunku, przebiega wyspę, ale nikogo nie spotkał tylko krzewy i drzewa, westchnął biedny, bo poznał, że jest sam na bezludnej wyspie.

W tem poznał na piasku ślady bosych nóg ludzkich, radość wstąpiła do serca, ale nie na dlugo. Słyszał bowiem nie raz o dzikich ludziach zaludniających wyspy, którzy nie znają Boga a żyją jak zwierzęta, żywią się ciałem ludzkiem; — dreszcz przeszedł po ciele, może natrafić na nich lub na dzikie zwierzęta, uczuł, że niewiele był bezpieczniejszym na bezludnej wyspie, gdzie mógł być lada chwilę pożartym przez dzikich.

Nie było jednak w czem wybierać, trzeba było zdać się na wolę losu. — Uznał jednak nasz Robinson za bezpieczniejsze, schronić się gdzie na drzewo i tam czekać dnia — i w istocie wynalazł drzewo rozłożyste, wdrapał się na nie i tam jak mógł usadowił się.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

WYŻYNKI NOCNE.

(Dokończenie.)

Dziw stał się wielki — na raz muzyka ucichła, jaki taki zarzucił sierp na ramię i zapytywał, co to znaczy; nikt jednakże nie śmiał się zbliżyć do krzaków, żeby naocznie przekonać się, co by to było; chociaż rzeczywiście nie było żadnego powodu do obawy, ale już to wszystko co raptem człowieka dotknie, to za-

wsze na nim zrobi wrażenie.

I kiedy tak jedno drugie popycha, ażeby się kopnęło do krzaków, dla przekonania się, co by to było takiego, a każde się droży — Bóg wie co sobie wyobrażając; sołtys rozśmiał się na to i śmiało z kilkoma gospodarzami zbliżył się do krzaków, a za niemi postępowała jakby owce zbita w jedną kupę gromada.

Ale jakież było ich zdziwienie, na widok który się przedstawił ich oczom.

Na skraju lasu, pod drzewami, były powbijane na prędce kołki, jakby koziołki w ziemię, a na nich poukładane długiemi trzema rzędami sosnowe tarcice, które właśnie w pobliżu rznęli tracze. — Ogromny ogień z suchych gałęzi palił się na boku, a w około niego stały kotły, w których się gotowały całe ćwierci mięsa i ogromne pieczenie piekły na rusztach.

Na tych na prędce porobionych stołach, stały szklanne lampy sowicie je oświecające, pomiędzy niemi ogromne miski pełne jedzenia i dzbany z piwem pieniącem się jakby śmietana, około tego uwijali się ludzie dworscy; na boku stała kufa z wódką pod dozorem samego ekonoma — a cokolwiek dalej fornalki powyprzęgane, na których, widać to wszystko przywiezione było przed chwilą.

Na stronie cokolwiek stał mały stolik nakryty bieluteńką serwetą, a na nim stały rozmaite rzeczy do jedzenia i dymił się samowar, przy stoliku tym siedział młody dziedzic Sincic i zacny ksiądz proboszcz Dulnicki, który jak się tylko ludzie rozeszli po kościele do domów, kazał sobie założyć parę koni do swojej drundulki i zajechał zaraz do Sincickiego dziedzica, a kochał ci go ten młody pan jakby własnego ojca, bo kapłan ten ze wszech miar godnym był kochania. — Niezmiernie więc ucieszył się, kiedy zobaczył zacnego proboszcza u siebie, a kiedy ten zaraz po przywitaniu opowiedział mu o szlachetnem zamiarze gromady, niesienia pomocy nieszczęśliwemu chorobą złożonemu sąsiadowi, to się obadwa z poczciwym proboszczem o mało nie popłakali z ukontentowania.

Ale dziedzic na tem nie poprzestał i postanowił swoim wieśniakom wyprawić niespodziankę, czemprędzej więc kazał zawołać ekonoma i rozkazał mu ażeby wziąwszy dworskich ludzi, nikomu nic nie mówiąc, udał się do lasu przytykającego do działku Józefka i tam przyrządził wszystko co potrzeba do uczęstowania gromady, fornalki zaś dworskie żeby zabrały naczynia i jedzenia na które kazał zabić kilka baranów i krowę, — ze śpiżarni zaś polecił wydać mąki, kaszy, sera, słoniny i chleba, ile potrzeba; jedną i drugą beczkę piwa wytoczyć z lamusu, wódki zaś rozkazał wziąść jedną tylko baryłkę, gdyż zbytku nigdy nie lubił w tej mierze i rozkazał żeby wszystko było wykonane w największym sekrecie.

Jak się tylko zbliżył wieczór i dano znać że cała gromada z muzyką wyciągnęła na pole, kazał zaraz założyć konie do wolantu i uprosiwszy proboszcza żeby mu towarzyszył, który się też i nie bardzo dał prosić, inną drogą dojechali do lasu, a ztamtąd przy świetle księżyca, widzieli całą gromadę pracującą ochoczo i dochodziły ich uszu wesołe śpiewy, które się daleko rozlegały po rosie.

Zastawiono więc stoły cichaczem i dopiero jak zobaczono — że się już na ostatnim działku znajdują żeńcy, pozapalano światła, kiedy się gromada na czele mając sołtysa zbliżała do ognia, zrazu nie umiała sobie wytłumaczyć tego widoku, ale kiedy poznano ludzi dworskich i zobaczyli na boku siedzącego proboszcza i swego dziedzica, wszystkiego się domyślili, głośne okrzyki radości rozlegały się na wszystkie strony i churmem cała gromada otoczyła swoich dobroczyńców.

Wówczas dziedzic powstawszy, uścisnął rękę poczciwego sołtysa, w serdecznych słowach podziękował mu za to, że swoją namową i przykładem, zachęcił innych do dobrego czynu i zaprosił wszystkich żeby zasiedli stoły i pożywali co im Bóg przez jego ręce daje; ksiądz proboszcz powstał ze swojego siedzenia i przeżegnawszy wszystko, pobłogosławił i zachęcił do używania darów Bożych.

Dziedzic wziął kieliszek w rękę i przepił nim naprzód do sołtysa, ten do Stacha, tamten znowu do Gabrysia i tak obeszła kolejka wszystkich naprzód gospodarzy, następnie gospodynie, a potem dopiero dziewuchy i parobki. Muzyce rozkazał dziedzic ciągle grać i kiedy wszyscy zasiedli za stoły i zaczęli zajadać, dziedzic z proboszczem chodził między stołami i rozmawiał z gospodarzami — a poczciwy pleban nauczał, że tak zawsze trzeba postępować i jeżeli się widzi nieszczęście u swojego sąsiada, chętnie mu spieszyć z pomocą, gdyż nietylko tak chce nasz Bozki Zbawiciel, ale i dla naszego do-

bra, bo nie wiemy kto z brzegu i na kogo pierwej może spaść jakie nieszczęście, a już to jest pospolicie tak na świecie, że jaką miarką mierzysz, taką i tobie odmierzą.

I tak skończyła się wyżynka, gromada uraczywszy się, powróciła ze śpiewami do domów. — Dziedzic na trzeci dzień jak zboże już wyschło, rozkazał zajechać fornalkom, zabrać z pola i złożyć do stodoły Józefka.

O jakże on przyszedłszy do zdrowia dziękował swoim sąsiadom, panu, i jak szczerze prosił Boga za nimi!

Koniec.

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Spiskowcy widząc, że Buchanan nie śmiał jawnie i surowo przeciw nim wystąpić, poczęli otwarcie pracować nad wywrotem rzeczypospolitej.

Charleston w S. Carolina został obrany za miejsce zbiorowe. Komendant fortec tamtejszych, obywatel lojalny, widząc co się dzieje, doniósł o tem sekretarzowi wojny, który atoli sam należał do partyi południowej, a wiedząc na co się zanosi, wypróżnił arsenały stanów północnych i zgromadził wszystkie zapasy w warowniach i arsenałach południowych. Anderson, tak się nazywał ów patryota, widząc, że prędko nie otrzyma pomocy, opuścił Fort Moultrie i zamknął się z załogą liczącą tylko 100 głów w Fort Sumter, ponieważ tam mógł się lepiej bronić. Tymczasem popełniono znaczną kradzież w biórze spraw krajowych, w której to tranzakcyi brał także udział minister wojny. Ten obawiając się złych skutków, zrezygnował i uciekł do Virginii.

Pierwsze dwa miesiące w r. 1861 były epoką pełną obawy i przerażenia umysłów — panował zastój w interesach. Prezydent tymczasem nie przedsiębrał żadnych kroków a spiskowcy powzięli myśl zamordowania nowego prezydenta. Ten atoli zdołał przemknąć się przez Baltimore i przybył w dniu 23 lutego do Washington, gdzie pozostał aż do rozpoczęcia urzędowania.

ROZDZIAŁ XIV.

Administracya Lincoln'a (1861—1865).

Abraham Lincoln objął zarząd kraju pod warunkami nader groźnemi. Nowy gabinet usiłował nasamprzód przekonać się, jakie zasoby pozostały krajowi. Wojsko liczyło tylko 16,000 głów i było porostawiane nad granicami indyańskiemi; 16 warowni i wszystkie arsenały w stanach, rodzących bawełnę, znajdowały się w ręku buntowników. Flota składająca się z 42 statków była rozproszoną po całym świecie, tak że tylko dwa okręty pozostały dla obrony wybrzeża atlantyckiego, wiele urzędów publicznych było zajętych przez ludzi nielojalnych a prezydent nie wiedział, kto był zaufania godnym a kto nie. Cały prawie miesiąc przeszedł nim mógł zastąpić urzędników nielojalnych, ludźmi rzetelnymi.

Tymczasem wybuchło powstanie jawne, zwłaszcza zaś w Charleston. Skoro major Anderson się cofnął do Fort Sumter, poczęli powstańcy przybywać ze wszech stron i robić przygotowania do wypędzenia go. Dowódzcą powstańców w Charleston został zamianowany jen. Beauregard. Ten mając kilka tysięcy ludzi i 30 armat począł bombardować warownię, której załoga składała się z 100 ludzi tylko. Broniła się mężnie, lecz gdy nie otrzymując spodziewanych posiłków, nie mając już żywności, opuściła w dniu 14 kwietnia warownię, zabierając ze sobą chorągiew nad nią powiewającą, którą przywiozła do New York'u. W cztery lata później (14 kwietnia 1865) zajął ten sam Anderson znów Fort Sumter i wywiesił dawniejszą chorągiew.

Tym wypadkiem rozpoczęła się wojna domowa w r. 1861. W 24 godzin po opuszczeniu Fortu Sumter wydał prezydent proklamacyę, którą zwołał 75,000 milicyi do służby na trzy miesiące, w celu uśmierzenia buntu. Minister wojny zaś zażądał od pojedyńczych stanów, aby stawili kontyngens wojskowy prawem przepisany. W stanach północnych garnął się lud z zapałem pod chorągwie, tymczasem bunt na południu przybrał rozmiary wielkiego powstania.

Najpierwszym celem południowców było zajęcie Washingtonu, stolicy Stanów Zjednoczonych. Aby to módz uskutecznić trzeba było być pewnym stanu Virginia, który dotychczas nie przyłączył się do secesyonistów. Nastąpił o to dopiero w dniu 25 kwietnia 1861 r. wskutek intryg, zdrady i groźby powieszenia tych reprezentantów ludu, którzyby się secesyi opierali.

Ze wszystkich stanów niewolniczych poczęły przybywać różne oddziały, udające się ku Washingtonowi, przyjaciele zaś wolności dążyli także do tego miasta, aby je obronić, i starali się powstańców wyprzedzić.

Porucznik Jones, komendant w Harper's Ferry, słysząc że nieprzyjaciel przybywa a widząc swe siły za małe, spalił tamtejsze arsenały i zbrojownię i cofnął się do Pensylvanii. Powstańcy zajęli natychmiast tę miejscowość. Tymczasem oddał McAuley, obawiający się zdrady oficerów powstańcom arsenały w Norfolk i kazał okręty tam się znajdujące zatopić. W tej chwili przybył admirał Paulding z flotą, lecz widząc że nieprzyjaciel już jest w posiadaniu arsenałów i warsztatów tamtejszych, począł je bombardować wskutek czego się spaliły, lecz konfederaci zdobyli na każdy przypadek około 2000 armat.

Stolica znajdowała się w niebezpieczeństwie a prezydent, gabinet i jen. dowodzący armią byli tam przez tydzień prawie więźniami, gdyż powstańcy zajęli główniejsze i ważniejsze miejscowości nad kolejami położone i zniszczyli mosty w pobliżu Baltimore; skutkiem tego nie mogło wojsko i milicya ze stanów lojalnych dostać się do Washingtonu. Prezydent i zarząd uszli tylko niewoli przez przezorność jenerała Wool z Nowego Yorku (weterana), który manowcami przesłał posiłki do Washingtonu. W dniu 21 kwietnia udał się 7 pułk (z Nowego Yorku i Massachusetts) wodą do Annapolis; zajął kolej łączącą to miasto z Washington i Baltimore koleją, a później Relay House, gdzie Baltimore i Ohio kolej ma poboczną kolej do Harper's Ferry. W nocy na 13 maja udał się jen. Butler pod zasłoną burzy do Baltimore, zajął i obsadził pagórek Federal Hill, panujący nad miastem. W ten sposób zostało powstanie w Maryland w samych początkach uśmierzone a wojsko stanów północnych mogło bezpiecznie kolejami udać się do Washingtonu.

Powstańcy tymczasem wystarali się w jeden sposób lub drugi o 40 milionów dolarów, i postawili w pole 40,000 żołnierza, po większej części Virgińczyków i wysłali emisaryuszów, nazwanych komisarzami, aby uzyskać od obcych mocarstw pomocy i uznania ich rządu. Gubernatorowie 13 stanów i politycy innych stanów sprzyjali ruchowi buntowniczemu. Z powstania zrobiła się rewolucya. Lud lojalny i rząd narodowy, uznając wielkość niebezpieczeństwa, poczęli na seryo się starać o uśmierzenie buntowników. W dniu 3 maja 1861 r. wywołał prezydent w pole 64,000 wolontaryuszów i 18,000 dla floty. Warownie Monroe i Pickens zostały wzmocnione i porty południowe zablokowane.

W dniu 4 lipca było już 230,000 wolontaryuszów w polu; kongres postanowił powiększyć liczbę tę na 500,000 i przeznaczył na cel ten 500 mil. dolarów. Każdy bez wyjątku, nie zwracając na religię i politykę niósł dary na ołtarzu wolności. Konfederaci tymczasem zwiększyli swe siły na 100,000 żołnierza i rozciągnęli cały łańcuch oddziałów od Harper's Ferry przez Richmond aż do Norfolk. Główna ich siła znajdowała się w Manasses Junction. Wiele mocarstw europejskich wyjąwszy Rosyi oświadczyło tymczasem swą neutralność. Od stanu Virginia odłączyła się pewna część, której ludność została lojalną. Część ta tworzy od tego czasu odrębny stan pod nazwą West (zachodnia) Virginia. Rząd wysłał natychmiast do W. Virginii jenerała Jerzego McClellan, który po potyczce w dniu 3 czerwca, wypędził powstańców (pod dowództwem Porterfield'a) z Philippi. Na czas niejaki zapanował spokój w tej okolicy.

Tymczasem posuwały się oddziały konfederacyjne ku fortecy Monroe, gdzie się znajdował jen. Butler. Ten dowiedziawszy się, że nie-

przyjaciel rozłożywszy się obozem w Big Bethel, wysłał w nocy dwa oddziały różnemi drogami w celu uderzenia na obóz nieprzyjacielski. Dwa te oddziały spotkały się w pobliżu obozu, a uważając się za nieprzyjaciół poczęli do siebie strzelać, co przestrzegło południowców. Nastąpiła potyczka, po której oddziały Butlera nie uskutecznіwszy nic cofnęły się do Monroe.

Porażkę tę odwetował w dzień następny (11 czerwca) pułkownik Lewis Wallace, który na czele małego oddziału pobił 500 konfederatów pod Romnez. Powstańcy w Harper's Ferry przestraszyli się tą porażką tak, iż cofnęli się do Winchester 18 mil ztamtąd odległego. Wojsko północne zajęło Harper's Ferry. W dniu 2 lipca zajął jen. Patterson Martinsburg z drugiej strony rzeki leżący. Przednia jego straż pobiła oddział pod dowództem słynnego później jenerała „Stonewall" Jackson.

Wallace bronił tymczasem wciąż Baltimore i Ohio kolei a McClellan zadawał konfederatom klęski w pobliżu Trygart rzeki. McClellan miał około 20,000 żołnierza. Część tychże pod jen. Rosecranz pobiła w dniu 11 lipca pułkownika Pegram pod Rich Mountains, inna zaś pod jen. T. A. Morris pobiła Garnetta dwa razy a jen. Cox wypędził Wisego z Kanawka doliny, naczem jak się zdawało wojna w W. Virginii się zakończyła. W dniu 22 lipca objął McClellan naczelne dowództwo nad armią Potomac'u, a Rosecranz stał się następcą jego nad dawniejszym korpusem.

Konfederaci podburzyli w tym samym czasie także ludność w stanach Mississippi, Missouri Kentucky i uknuli spisek, którego celem było zajęcie zbrojowni w St. Louis. Plan ich nie udał się, gdyż komendant w St. Louis, kapitan Nathaniel Lyon, miał się na baczności, otoczył spiskowców właśnie gdy zbrojownię chcieli zająć i uwięził ich. Tenże sam wkrótce potem zamianowany jenerał-majorem, pobił powstańców pod Booneville w Missouri, wskutek czego reszta ich się cofnęła na południe.

Wszystkie te wypadki były tylko wstępem do prawdziwej wojny. — Cały kraj był już w ruchu; w każdej wsi, w każdem miesteczku i mieście od St. Croix na północy aż do rzeki Rio Grande na południu, dał się słyszeć odgłos bębnów i piszczałek. Nie było już można się cofnąć. Chodziło o to, kto zwycięży, czy barbarzyństwo systemu niewolniczego, czy też postęp i cywilizacya. Potężna armia pełna odwagi i niecierpliwości, czekała tylko na chwilę, w której otrzyma rozkaz udania się do Richmondu, gdzie się znajdowała główna kwatera powstańców. Nareszcie wydał naczelnik rozkaz uderzenia na Mannasses, gdzie powstańcami dowodził jen. Beauregard.

Jen. Scott był już w zapodeszłym wieku, aby osobiście mógł prowadzić wojska na pole walki i dla tego zdał naczelnictwo jenerałowi McDowell, dowodzącemu w okręgu Virginia. Około połowy lipca wyszła armia 30,000 z Arlington Heigtes do Mannasses. W dniu 18 stoczył oddział pod jen. Tyler potyczkę z nieprzyjacielem pod Centreville, został jednakowoż zmuszony do odwrotu. Po każdej stronie padło około 60 ludzi. Konfederaci byli zadowoleni.

Ruch Tylera był tylko przedsięwzięty w celu wyprowadzenia nieprzyjaciela w pole; — McDowell bowiem miał zupełnie inne plany. W dniu 21 uderzył na nieprzyjaciela w pobliżu mostu nad rzeką Bull Run. Przez niezrozumienie rozkazów i inne okoliczności nie powiodło się McDowellowi. Po całodziennej krwawej bitwie, została armia północna pobita; wszystko uciekało w nieładzie ku Washingtonowi. Wiadomość o zwycięztwie wywołała wielką radość u południowców.

Kongres atoli nie dał się odstraszyć tą klęską; lud ochłonąwszy z przerażenia, począł go jeszcze silniej popierać; ze wszystkich stron przybywali wolontaryusze i w dwa tygodnie po bitwie pod Bull Run była armia o wiele liczniejszą jak przedtem.

W dzień po tej bitwie (22 lipca 1861) objął jen. McClellan dowództwo nad armią i zajął się tak szczerze reorganizacyą, iż w połowie października miał 75,000 dobrze uzbrojonego i wyćwiczonego żołnierza. McClellan posiadał wielkie zaufanie u ludu i żołnierzy i wszędzie nazywano go „młodym-Napoleonem". Cały kraj był zadowolony gdy w dniu 1 listopada Scott złożył naczelnictwo, a Mc Clellan został za jego poleceniem zamianowany naczelnym wodzem. Resztę jesieni i zimy poświęcił na przygotowanie się do wyprawy przeciw Richmondowi, a gdy w marcu armia jego znana pod nazwą „wielkiej armii Potomac'u", wyruszyła w pole, liczyła 220,000 żołnierza. Armia nieprzyjaciela pod jenerałem Johnstonem licząca około 40,000 żołnierza, a leżąca pomiędzy Washingtonem i Richmondem nie czyniła w tym czasie nic. Washington zaś został jesienią i zimą wzmocniony przez 52 warownie i reduty.

Tymczasem rozszerzyła się wojna na zachód gór Alleghanów a zwłaszcza w stanie Missouri. Zostawiliśmy tam jenerała Lyona zwycięzcą pod Booneville; powstańcy po jen. Price i Jackson znajdowoli się w południowo-zachodniej części tego stanu. Lyon zwyciężył główny ich korpus; jen. Ligel zaś wyszedł na czele korpusu północnego z St. Louis ku granicy stanu Arkansas. W pobliżu Carthage spotkał na o wiele liczniejszy oddział powstańców i widział się zmuszonym do odwrotu do Springfield. Lyon usłyszawszy o tem przybył do niego i objął dowództwo nad złączonemi oddziałami. Powstańcy odebrali tymczasem także posiłki z Texas i Arkansas i na

końcu lipca posunęli się ku Sprinfieldowi. Liczyli 20,000, podczas gdy Lyon miał tylko 6000 żołnierza. Pomimo tego przyjął bitwę i pobił ich 19 mil od Springfield. W dniu 4 sierpnia wrócił do Springfield. Powstańcy przybliżyli się także do miasta i rozłożyli się obozem 10 mil od niego. Lyon wyruszył znów przeciw nim. Mały swój oddział podzielił na dwie kolumny, których jedną dowodził Ligel, który miał nieprzyjaciela z tyłu zaczepić.

Rychło z rana rozpoczęła się bitwa, pomimo iż większa część kolumny Ligla, który się dał omamić przez powstańców padła lub została zabrana w niewolę i Lyon sam został śmiertelnie raniony, zwyciężyło wojko unii pod majorem Stargisem który po Lyonie objął dowództwo. Nazajutrz cofnął się Ligel do Rolle, gdyż widział że był za słabym aby świeżą stoczyć bitwę.

Tymczasem przystępowało coraz więcej Missourianów do południowców. Do St. Louis przysłano więc jen. Fremont, który począł obchodzić się dość surowo z buntownikami.

Price jen. południowców mający około 25,000 ludzi, obległ w dniu 11 września miasto Lexington, w którem się okopał jen. Mulligan mający 6000 wojska, lecz dla każdego żołnierza tylko po 40 nabojów. Mulligan bronił się do 20 go poczem nie mając amunicyi, był zmuszony się poddać. Jen. Fremont odwetował tę klęskę, gdyż w dniu 27 września wygnał Price'a ze stanu Missouri.

Nie mniej ważne sprawy zaszły w Kentucky. Mullgofin, gubernator tego stanu widocznie popierał Konfederatów, którzy przybywszy z dość licznym oddziałem zabrali w dniu 6 września miasto Columbus nad rzeką Mississippi.

Jenerał Anderson przedsięwziął natychmiast stanowcze kroki, aby zapobiedz dalszym krokom powstańców. Ulysses S. Grant, naczelnik w Cairo zajął w tym czasie miasto Padurah przy ujściu rzeki Tennessee.

Wskutek tych wypadków przyłączył się stan Tennessee do związku północnego.

Lecz wróćmy do stanu Missouri. Wiemy że jen. Fremont ścigał Konfederatów. Planem jego było pobić oddziały tychże i udać się wprost do New Orleans. Pobił wprawdzie i wypędził z Missouri jenerała Price, lecz dalej nie mógł planu swego wykonać, gdyż mu odebrano naczelnictwo. Davis Hunter został jego następcą. Wojsko jego niezadowolone musiało wrócić do St. Louis. Pojedyncze oddziały biły tymczasem powstańców gdzie tylko mogły.

Fremont, nim go usunięto z naczelnictwa, polecił jenerałowi Grant, aby wraz z nim działał wzdłuż rzeki Mississippi. Grant postanowił zagrozić Columbusowi, które to miasto, jak już powiedzieliśmy zajęli Konfederaci. Korpus swój umieścił na statkach Tyler i Lexington, z którymi przypłynął aż do Columbus, podczas gdy inny oddział pod jen. Chas. A. Smith pieszo wyszedł z Paducah, aby uderzyć na Columbus z drugiej strony. Grant przybył z dwoma statkami przed Columbus w dniu 7 listopada i kazał sypać ogniem z armat. Wojsko zaś wylądowało powyżej miasteczka Belmont i szło ku temu miejscu. Polk naczelnik Konfederatów posłał jenerała Pillow na pomoc zagrożonej załodze. Po zaciętej potyczce zwyciężył Grant, lecz cofnął się gdyż kule armatnie z Columbus padały aż na miejscu na którem oddział jego się znajdował. Lecz Polk, nie chciał zezwolić, aby wojsko północne tak uszło i wysłał jeszcze więcej pułków przeciw Grantowi i sypał ogniem do niego z armat najcięższego kalibru. Grant zdołał się przebić do okrętów z wielką stratą i uszedł.

Tymczasem wpadł ze wschodniej strony Tennessee, Feliks Zolliscoffer. Wierni unii, tak nazwani lojaliści zebrali się i pobili go pod Rock Castle i rozproszyli bardziej na wschód pod Piketon inny oddział Konfederatów, jednakowoż pod koniec r. 1861 usadowili się w Tennessee i w południowem Kentucky na przestrzeni obejmującej 400 mil od gór aż do rzeki Mississippi.

Zobaczmy co w tym samym czasie w innych stronach się działo. W jesieni 1861 r. usiłowali Konfederaci zająć zachodnią Virginię. Jen. Robert Lee posiadał 16,000 żołnierza, główną zaś kwaterę miał w Huntersville. Floyd zaś, minister wojny, o którym powyżej wspominaliśmy, stał nad rzeką Gauley. Z tym ostatnim spotkał się jen. Rosecranz pod Carnifex Ferry. Noc przeszkodziła dalszej bitwie, którą Rosecranz chciał odnowić nazajutrz, lecz nieprzyjaciel uszedł w nocy i nie zatrzymał się aż na szczycie góry Big Sewell, trzydzieści mil od pola walki. Jen. Reynards zaś, którego Rosecranz był pozostawił, aby śledził ruchy jenerała Lee, stoczył z nim bitwę w Cheat Mountain wąwozie, który południowcy chcieli zająć, aby módz zaprowadzić komunikacyę z Shenandoah doliną. Lee został pobity (12 września) poczem złączył się z Floydem; połączone ich siły liczyły 20,000 ludzi, podczas gdy Rosecranz miał ich tylko 10,000.

Lee został odwołany a Floyd został sam przeciw Rosecranz'owi, który go w dniu 12 listopada wypędził ze stanowiska jego nad New rzeką i ścigał przeszło 50 mil. Floyd wziął dymisyę, lecz okazał się w kilka miesięcy potem pod Fort Donelson. Jen. Kelley bronił tymczasem Baltimore i Ohio kolei bardzo mężnie i poraził Konfederatów w dniu 26 października pod Romney, przez co się ukończyło powstanie w tej okolicy. Jen. Milroy, następca Reynards'a uwijał się nie mniej skrzętnie w pobliżu Cheat Mountain. Pułkownik Johnston z Georgii zadał mu wprawdzie

klęskę, którą atoli powetował przez wyprawę do Huntersville, zkąd Konfederatów wypędził na końcu grudnia, zabrał wiele zapasów i oswobodził kilkadziesiąt jeńców.

Na tem się skończyła kampania 1861 r. w W. Virginii.

Nad wybrzeżem toczyła się w tym czasie także walka. Flota stanów północnych poparta przez cokolwiek wojska zdobyła w dniu 29 sierpnia warownię Hatteras i Clarke, 18 mil od przylądka Hatteras położoną.

Konfederaci tymczasem usiłowali zdobyć Fort Pickens, o którym już wspomnieliśmy, zostali atoli odparci utraciwszy 150 ludzi, Uniści utracili 64 w zabitych i rannych. W okolicy tej nad wybrzeżem zatoki Pensacola w Florydzie panował potem przez niejakiś czas spokój.

W październiku 1861 r. wysłano inną ekspedycyę składającą się z 50 statków i 15, 000 żołnierza pod jenerałem T. W. Sherman na wybrzeże południowej Caroliny. Oddział jego zajął Port Royal i później wyspę Tybec, przez co odebrał rząd wszystkie wyspy nad wybrzeżem od cieśniny Warsaw aż prawie do Charlestonu.

Główne zaś armie leżały w Washingtonie i przed Washingtonem. Konfederaci nie czynili nic od czasu zwycięztwa pod Bull Run, armia zaś północna organizowała się na nowo jak już powiedzieliśmy. Baterye południowców zaś zablokowały rzekę Potomac.

Armia Patomac'u przez kilka pomniejszych zwycięzkich potyczek rozszerzyła swój teren; południowcy cofnęli się aż do Centreville nie broniąc się wcale. Jenerała McClellan doszła w październiku wiadomość, że Konfederaci cofnęli się z okolicy Leesburgu. Dla tego wysłał dość silny rekonensans pod jen. McCall, aby się wywiedzieć o stanowisku nieprzyjaciela. Jen. Stone stojący pomiędzy Conrads i Edwards Ferry został uwiadomiony, ażeby popierał ruch McCall'a. Myśląc, że ten już w pobliżu się znajduje, wysłał oddział pod pułkownikami Devens i Lee do stałego lądu wirginskiego. Pomiędzy Ball's Bluff i Leesburg'iem nie napotkali nieprzyjaciela, lecz jen. Evans stojący w poblizu, wiedział o każdym ich ruchu, uderzył na nich w dniu 21 paźdz. 1861 r. i zmusił ich do odwrotu do Ball's Bluff. W pobliżu stał także pułkownik Baker, który przybywszy Unistom na pomoc, objął naczelne dowództwo, został atoli zabity, a oddział jego nie dostając innej pomocy, został pobity i bardzo wielu z jego członków dostało się do niewoli. Armia północna utraciła przeszło 1000 ludzi i dwie armaty.

W dniu 21 grudnia odniósł jen. Ord zwycięztwo nad małym oddziałem Konfederatów, lecz główna armia nie przedsięwzięła żadnych stanowczych kroków, co poczęło niezmiernie nie cierpliwić ludność.

ROZDZIAŁ XV.

Wojna domowa (1861—1865).

W dniu 11 stycznia 1862 r. wypłynęła flota składająca się ze 100 okrętów parowych i żaglowych z Hampton Roads do wybrzeża północnej Caroliny przewożąc 16,000 wojska, którem dowodził jen. Ambroży Burnside. Celem ekspedycyi była wyspa Roanoke, która w nocy na 7 lutego pomimo odważnej obrony Konfederatów szturmem została wzięta. Przez to zwycięztwo otworzyła się Unistom droga do północnej Caroliny, z czego też nie omieszkali skorzystać, bo pobiwszy Konfederatów pod Elizabeth City, zajęli całą okolicę nad Purquotunk rzeką.

W jesieni 1861 r. zostały granice departamentu Missouri rozszerzone i jen. Halleck, którego powołano z Californii, został zamianowany jego naczelnikiem. Jen. Hunter dostał naczelnictwo nad dep. Kansas, jen. Carlos Boell nad okręgiem Ohio a pułkownik Canby nad New Mexico. Jen. Halleck, którego główna kwatera w St. Louis się znajdowała, żelazną ręką wstrzymywał secesyonistów i powstańców. Jen. Pope dowodził pomiędzy Missouri i Osage rzekami, tam właśnie gdzie jen. Price rekrutował powstańców. Pułkownik jego Davis pobił powstańców pod Milford, zabrał ich 100 w niewolę i zdobył wiele koni, mułów i amunicyi. Pope ścigał następnie jenerała Price, który się cofał ku granicom stanu Arkansas. W grudniu zgromadził Price około 12,000 ludzi i rozłożył się obozem pod Springfield, lecz ubiegł w nocy z 12 na 13 lutego do północnego Arkansas a potem dalej na południe, gdyż jen. Curtis ze znaczną siłą wciąż go ścigał. Ten ostatni rozłożył się obozem w Sugar Creek pod Bentonville.

(Dalszy ciąg nastąpi).